



A WIĘC TAK

Janusz Rudnicki

Akurat robiłem codzienną przejażdżkę na moim białym koniu wokół placu Trzech Krzyży, kiedy ją zobaczyłem. Na przystanku, samą, stała jak drzewo, które nie pasuje do żadnego lasu. Jak dziewczynka z zapalkami, z tą różnicą, że bez nich, trzymała w ręku papierosa, nie mając ognia. Zatrzymałem się przed nią, pochyliłem, zapaliłem jej, zapaliłem sobie, zaciągnęliśmy się razem, to nas do nas zbliżyło jak pierwszy pocałunek.

Powiedziała: dzięki królu, zdziwiłem się, wskazała na siodło. A tak, zapomniałem, że siedzę na sedesie. Opowiedziałem jej, jak było, konia znalazłem na wysypisku śmieci na Bielanach, czarna, potężna góra śmieci, a on pod nią cały na biało. Stał sobie i skubał trawę, a konkretnie wykładzinę ze sztucznej trawy. Z dwóch dętek zrobiłem cugle, z deski klozetowej siodło i wio. Chyba jej zaimponowałem, nie dziwię się, pomiot liryczny ze mnie nie byle jaki.

Nachyliłem się i wyciągnąłem rękę, wahała się, ale tylko przez chwilę, jedna sekunda i już siedziała za mną. I w tym momencie zatrąbił nagle autobus, sygnał był tak przeraźliwy, że koń zerwał się natychmiast. I popędził z nami na wierzchu w stronę ronda de Gaulle'a. Przyłgnęła do mnie i tak zespawani krążyć zaczęliśmy galopem wokół palmy. Przez noc, a potem dzień, a potem znowu noc, a my razem na białym tym koniu jak dwie choroby współistniejące. Padły oświadczyły, krzykiem do uszu, ja, że dłużej wytrzymałem pod wodą niż z kobietami, i że nigdy z żadną nie byłem tak długo.

No i tak, no i warszawiacy rzucają nam kanapki i wodę, świat skacze nam przed oczami i tak żyjemy, czekając, aż koń padnie. Nie zanosi się, żebyśmy szybko wrócili do stajni, ale takie życie jest ok, nie musi być zawsze tak, że każdy z nas żyje w swoim boksie, co nie?